**TEKST DYKTANDA- 12. 01. 2017 r.**

 **Jakiś czas temu w mało popularnej gazecie „Na skróty” ukazał się nie za długi, ale też i nie krótki tekst o przedziwnej historii zaobserwowanej w pobliżu pewnej podgórskiej wsi. Otóż, według relacji tuziemca, doszło wówczas wśród zwierząt do swoistego mityngu. Na polanie, jak wynika z nietuzinkowego reportażu, zebrało się w niespełna godzinę wszystko, co na wolności żyło w nie najdalszej okolicy. Były tam i różnokształtne zwierzęta, i wielobarwne ptaki, wśród których prym wiodły: pstropióra pustułka, żółtooka pójdźka i rozhukany puszczyk. Bractwo to przez dłuższą chwilę, hojnie swingując, skrzeczało, wrzeszczało, ryczało, tłukło się i harcowało wśród srebrzystozielonych krzaków i drzew, oświetlonych księżycową poświatą, nieśmiało przebijającą się przez bujny starodrzew. Chłopina próbował, jak zrobiłby niejeden rzetelny skrutator, zrachować to hałaśliwe towarzystwo. Kiedy jednak na okamgnienie wpół żywy z wrażenia chudopachołek przymknął ciężkie niby ołów powieki, ten leśny high life, jak twierdzi, nieoczekiwanie rozpierzchnął się chybko w różne strony. On sam, ocknąwszy się, popędził na oślep przed siebie, byle bliżej nie wymyślonych, a rzeczywistych ludzi.** **Nazajutrz, tuż przed wyjazdem do Rucianego- Nidy, stojąc wraz z innymi na przystanku i czekając na minibus, snuł jak niemal w Hyde Parku niezwykłą superopowieść o leśnych paraduchach. W stretchowej kurteczce à la tużurek sprawiał wrażenie człowieka nie z tego świata. Nie dziwota, że następnego dnia przysiółka zwalił się tłum i ciekawskich, i niedowiarków, i hobbystów. Rzekomo przyjechał nawet jeden staromodny sansalwadorczyk, który wraz z narzeczoną pół-Polką podróżował po rubieżach Unii Europejskiej. Jedni wietrzyli w wydarzeniach zapowiedź końca matki Ziemi, inni widzieli w tym niewyobrażalny exodus, jeszcze inni czystą herezję bądź zwykłe czary-mary. Nic tu nie trzymało się kupy; było jak dziurawe rzeszoto. Dysputy rychło przekształciły się w kłótnie. Nie jeden, nie dwóch, handrycząc się między sobą, wykorzystywało także nietuzinkowe środki perswazji, toteż niemłody już felczer nie nadążał ze świadczeniem pierwszej pomocy niby-medycznej. Niektórzy nie uniknęli hospitalizacji. Jedynie lokalny zajazd o nietuzinkowej nazwie, nomen omen „Pod Gołym Niebem”, skorzystał na tym i przeżywał swoją złotą godzinę. Ni stąd, ni zowąd wszystko ucichło. Baby zajęły się darciem pierza, a chłopy zwózką gałęziówki. Tylko niezniechęcony niewybrednymi komentarzami chłopek roztropek niemal co wieczór skrada się ku polanie i heroicznie czeka tam wciąż na swój los na loterii życia.**